

Więcej niż monografia. „Teatr spełnionych nadziei” Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

Marta Tomczyk-Maryon

Znając poprzednie teksty Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, spodziewałam się, że *Teatr spełnionych nadziei* będzie publikacją rzetelną, naukową i napisaną piękną polszczyzną. Oczekiwałam naszpikowanej nazwiskami i datami monografii, z którą... przyjdzie mi się mierzyć kilka tygodni. Przyznaję, że ogarnął mnie nawet lekki smutek, bo, gdy dotarł do mnie *Teatr spełnionych nadziei*, czytałam właśnie emocjonujący kryminał i wyglądało na to, że będę musiała go odłożyć, nie poznając odpowiedzi na pytanie „Kto zabił?”. A jednak, ku mojemu zaskoczeniu, powieść kryminalna wylądowała na najniższej półce nocnej szafki. Na samej górze znalazł się *Teatr spełnionych nadziei*. Książka o polskim teatrze w Kanadzie okazała się bardziej wciągająca; ponad 500 stron pochłonełam w ciągu tygodnia.



Maria Nowotarska i Kazimierz Braun.

Teatr spełnionych nadziei jest rzetelną monografią naukową, która jest źródłem wiedzy dla teatrologów i tych wszystkich, którzy chcieliby poznać historię polskiego teatru w Kanadzie. Znajdą oni tu informacje na temat wszystkich spektakli, które powstawały w latach 1991-2014 (ponad 100). Ta ogromna ilość faktów mogłaby stać się przytłaczająca, gdyby autorka oparła się tylko na dokumentach i recenzjach. Na szczęście dla czytelników, Joanna Sokołowska nie spędziła czasu wyłącznie w bibliotekach i archiwach. Niepowtarzalną wartość książce nadaje fakt, że autorka była „w centrum wydarzeń”, mieszkała w Kanadzie (obecnie w USA), знаła twórców Salonu Muzyki, Poezji i Teatru oraz przeprowadziła z nimi rozmowy, które stały się podstawą książki. Była również współautorką scenariusza spektaklu *Dobry wieczór, Monsieur Chopin* z roku 2010.

Opisywanie życia teatralnego poprzez wypowiedzi artystów, którzy je tworzyli jest bez wątpienia najciekawszym sposobem zaznajamiania czytelników z tym tematem.

Układ książki jest przemyślany, dzięki czemu ogromny materiał faktograficzny został podany w sposób przejrzysty i interesujący. W dwóch pierwszych rozdziałach poznajemy krakowskie korzenie twórców teatru oraz ich niełatwe początki na emigracji w Kanadzie. W rozdziałach od trzeciego do siódmego zaznajamiamy się z uporządkowanym tematycznie repertuarem teatralnym: spektaklami poetyckimi, muzycznymi, historycznymi, kabaretowymi oraz portretami emigrantek. W rozdziale ósmym poznajemy artystów związanych z Salonem Muzyki, Poezji i Teatru. W rozdziałach dziewiątym i dziesiątym autorka dopełnia portretu rodziny Pilitowskich, w ostatnich dwóch przedstawia teatralne wędrówki teatru i przedstawienia ujęte pod wspólną nazwą „Sentymentalne wędrówki”. Książka zawiera również chronologiczny wykaz dorobku repertuarowego, nagród przyznanych Salonowi Marii Nowotarskiej, indeks nazwisk i bibliografię. Autorka zadbała o ładną szatę graficzną oraz sporą ilość fotografii, które w tego rodzaju publikacji są ważnym elementem.



Autorka książki „Teatr spełnionych nadziei”, Joanna Sokołowska-Gwizdka po jednym

z wieczorów autorskich, w Wojewódzkiej Bibliotece im. Marszałka J. Piłsudskiego w Łodzi, fot. Andrzej Sokołowski..

Joanna Sokołowska-Gwizdka wyznała we wstępie, że pisała *Teatr spełnionych nadziei* dłużej niż przewidywała, dokładnie od roku 2005 do 2013. Uważam, że książka zyskała na tym. Dzisiaj w dobie szybkiej produkcji – niestety również w dziedzinie literatury – zapomina się o tym, że rzeczy wartościowe wymagają czasu i przemyślenia. *Teatr spełnionych nadziei* miał czas, aby dojrzeć.

Joanna Sokołowska-Gwizdka opisuje wielkie i unikatowe przedsięwzięcie polskiego teatru emigracyjnego w Toronto. Jego skala zaskakuje i imponuje. Jako emigrantka, działająca i obserwująca współczesne życie Polonii w Norwegii, mogę w pełni docenić dokonania Marii Nowotarskiej i wspierających ją osób. Chylę czoła przed tym, co udało się osiągnąć w Kanadzie w ciągu opisywanych 23 lat. Niewątpliwie, gdyby nie wybitna osobowość i nieprawdopodobna energia Marii Nowotarskiej nie byłoby polskiego teatru w Toronto.

Autorka nakreśliła portret wybitnej aktorki i człowieka, który w dużej mierze opiera się na wypowiedziach samej Marii Nowotarskiej. Portret to bardzo piękny, bo też i postać niezwykła. Wybitna aktorka, która w szczytowym okresie kariery zdecydowała się wyjechać do Kanady, aby pomóc swojej córce w wychowaniu dzieci. Jej kariera mogła się zakończyć na roli szczęśliwej babci. Tak się jednak nie stało, bo potrafiła w trudnej emigracyjnej rzeczywistości, stworzyć coś niezwykłego. Nie mając żadnego wsparcia i zaplecza finansowego powołała do życia polski teatr w Kanadzie. Spełniła się jako aktorka i reżyser (zdolności reżyserskie odkryła na emigracji). Pozwoliła także zrealizować się wielu polskim artystom przebywającym w Kanadzie, którzy po wyjeździe z Polski musieli zapomnieć o ambicjach i podjąć pracę w innych zawodach. Zaspokoili także największą tęsknotę Polaków mieszkających na obczyźnie, którą rozumieją tylko ci, którzy wyjechali z Polski. To tęsknota za polską mową i kulturą. Imponująca jest ilość i różnorodność przygotowanych przez Marię Nowotarską spektakli. Były to przedstawienia poetyckie przybliżające twórczość najwybitniejszych polskich poetów, patriotyczne oraz portrety ważnych postaci, np. Heleny Modrzejewskiej i Marii Curie-Skłodowskiej. W programie Salonu Poezji, Muzyki i Teatru były również przedstawienia rozrywkowe, muzyczne i kabaretowe. Te ostatnie pozwoliły przyciągnąć do kanadyjskiego teatru szeroką, zróżnicowaną pod względem wiekowym, zawodowym i wyrobienia teatralnego publiczność. Salon

Poezji, Muzyki i Teatru spełnił nie tylko ważną rolę kulturową, ale również społeczną. Okazał się czynnikiem/miejszem jednoczącym środowisko kanadyjskiej Polonii.

To wielkie dzieło życia Marii Nowotarskiej – a także wspierającej ją rodziny, przede wszystkim męża Jerzego Pilitowskiego oraz wielu współpracujących z nią artystów – zostało uwiecznione w książce, która jest czymś znacznie więcej niż monografią.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny. Novae Res, 2016.

Publikacja jest dostępna w sprzedaży w księgarniach stacjonarnych w Polsce i w księgarniach internetowych. Dostępny jest też e-book.

Księgarnia internetowa Gandalf wysyła książki za granicę.

<http://www.gandalf.com.pl/a/sokolowska-gwizdka-joanna/>



Trwać przy zasadach

Rok 2017 jest rokiem Josepha Conrada (1857-1924), gdyż w tym roku przypada 160 rocznica urodzin pisarza. Z tej okazji przypominamy rozmowę prof. Floriana Śmieji z prof. Zdzisławem Najderem na temat twórczości Józefa Korzeniowskiego (Josepha Conrada) oraz zdewaluowaniu pojęć honoru i wierności.



Prof. Zdzisław Najder, fot. Fakt/Forum, Darek Iwański.

Prof. Zdzisław Najder to polski historyk literatury, wykładowca, specjalista od twórczości Józefa Konrada Korzeniowskiego. Był także przez wiele lat dyrektorem polskiej sekcji Radia Wolna Europa oraz doradcą w rządzie Lecha Wałęsy i Jana Olszewskiego. Wywiad z prof. Florianem Śmieją ukazał się po publikacji książki prof. Zdzisława Najdera „Sztuka i wierność. Szkice o twórczości Josepha Conrada” w 2000 roku. Prof. Zdzisław Najder był wówczas wykładowcą w Wyższej Szkole Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie. Mimo, że wywiad miał miejsce kilkanaście lat temu, niewiele się zdezaktualizował. Twórczość Josepha Conrada jest wciąż jak najbardziej współczesna, a problemy miejsca Polski w strukturach Unii Europejskiej, jak najbardziej aktualne.

Redakcja

Florian Śmiej: Z okazji ukazania się w Polsce Twoich szkiców o twórczości J. Conrada pt. „Sztuka i wierność” pozwól, że zadam ci kilka pytań. Piszesz, że Conrad był pisarzem anachronicznym, nie należącym do swojego czasu i że jego korzenie tkwiły w tradycji.

Zdzisław Najder: Tak, w sposobie widzenia problemów moralności i ludzkiej wspólnoty był związany z polską kulturą szlachecko-inteligencką – a to już był w ówczesnej Anglii anachronizm. Jego wzory literackie – to książki Flauberta i Maupassanta, wydane ponad ćwierć wieku przed debiutem powieściowym Conrada. Ale równocześnie, i na tym zasadza się jego wielkość, stawianymi pytaniami i artystycznymi eksperymentami wybiegał w przyszłość. Wystarczy wspomnieć „Jądro ciemności”, napisane w wieku XIX i czytane z przejęciem w XXI jak utwór niemal współczesny.

FS: Przecież jego powieści polityczne także nie straciły na aktualności.

ZN: Właśnie, pytania o przyszłość Rosji, rozdieranej między autokrację a anarchię, postawione przez Conrada dziewięćdziesiąt lat temu, pozostają nadal otwarte. Ale to już wielokrotnie zauważono. Uderza mnie natomiast, że Conrad pisał – w roku 1905 w szkicu „Autokracja i wojna”, i w innych pismach politycznych, o Europie w taki sposób, jakby przeczuwał i sugerował całkiem nam współczesne wysiłki integracyjne na naszym kontynencie. Widział w nich jedyny sposób na uniknięcie niszczących konfliktów. Był wielkim pisarzem europejskim, może pierwszym i najznakomitszym – w sensie przynależenia do trzech europejskich kultur, polskiej, francuskiej i angielskiej, i w sensie wyjątkowej świadomości bogactwa i różnorodności kultur narodowych, i w sensie podejmowania typowo europejskiej problematyki. Przyjrzałem się temu bliżej, kiedy przygotowywałem do druku polski przekład wykładu o „Europie Conrada”, wygłoszonego jakiś czas temu w Londynie.



Józef Teodor Konrad Korzeniowski, fot. pinterest.

FS: Czyżby to zbieżność z twoją własną działalnością jako doradcy rządowego?

ZN: Masz rację. Uświadamiam sobie, jakie to są szczególne sploty. Zacząłem się zajmować Conradem pół wieku temu - na znak protestu politycznego, bo to był dla mnie pisarz pokolenia Akowskiego, pisarz wierności, którą komuniści wyszydzali. A w ciągu wielu lat od ogłoszenia (w podziemiu) pierwszego polskiego tekstu,

postulującego wejście niepodległej Polski do Wspólnot Europejskich, zajmuję się praktycznie wypełnianiem politycznej wizji Conrada... Dzisiaj jestem przekonany, że nie ma dla nas ważniejszego zadania, niż integracja z Unią Europejską. Europa nie stoi w miejscu: ta na zachód od nas tworzy nowe struktury, podejmuje nowe wyzwania – i powinniśmy być ich uczestnikami, aby mieć wpływ na to, co się dzieje na kontynencie; ta na wschód też się zmienia, wcale nie na naszą korzyść – więc powinniśmy się zabezpieczyć.

FS: Nie jesteś zatem profesorem, który siedzi w swoim gabinecie?

ZN: Ależ siedzę, siedzę – też. W tej chwili mam przed sobą siedem prac magisterskich do oceny; pięć dojrzeje we wrześniu. Z tej dwunastki moich studentów, piszących prace na temat literatury amerykańskiej i angielskiej, aż troje chce się doktoryzować. A mam już i tak trójkę doktorantów. Masz jednak rację, mnóstwo – może jeszcze więcej – czasu zabierają zajęcia tzw. publiczne. Tak już jest od ćwierć wieku, kiedy w maju 1976 r. ogłosiliśmy w konspiracji program Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, a po tym jeszcze czterdzieści dziewięć kolejnych publikacji. M. in. tłumaczyliśmy, że nie ma niepodległej Polski bez zjednoczonych Niemiec i *vice versa*. Jakoś wtedy (1978) nikt nie wierzył. Po tym była Wolna Europa i przymusowa emigracja, a po powrocie Komitet Obywatelski, doradzanie prezydentowi Wałęsie (bezskuteczne) i premierom (czasem się udawało, jak z uznaniem niepodległej Ukrainy w 1991 r.). Jeszcze Klub Atlantycki, też w 1991 – zakładałem pierwszą grupę nacisku za wejściem do NATO. To jednak wcale nie wystarcza, teraz trzeba do Unii Europejskiej. Zająć mi nie brak. Na szczęście moja żona niby narzeka, ale cały czas pomaga.



Muzeum Josepha Conrada w Berdyczowie, w odbudowanym budynku klasztoru Karmelitów Bosych, fot. Adam Orlewicz.



Muzeum Josepha Conrada w Berdyczowie, w odbudowanym budynku klasztoru Karmelitów Bosych, fot. Adam Orlewicz.

FS: Czy tak dla Ciebie ważnych pojęć honoru i wierności nie zdevaluowały niedawne czasy i niehumanitarne doświadczenia ostatnich pokoleń?

ZN: Te pojęcia istotnie są przez wielu współczesnych uważane za anachroniczne. Warszawska „Więź” wydała jakiś czas temu specjalny numer o „Zagubionej cnotce honoru”. Nie łączę jednak wcale tego kryzysu wartości z okrucieństwami wojny i stalinowskiego terroru. Wręcz przeciwnie: kryzys wywołany jest przez życie z mniejszymi wymaganiami, przez modne hasła skuteczności, pogoń za powodzeniem i zyskiem, jednym słowem przez tryumfy moralnego pragmatyzmu. Nasze czasy nie lubią moralnej twardości, lubią miękkość, telewizyjny wdzięk, umiejętność reklamy. Myślę jednak, na podstawie znajomości współczesnej publicystyki polskiej, że zatracone wartości nie przechodzi bez żalu, bez poczucia straty. Stąd wielki autorytet Zbigniewa Herberta. Jego „Przesłanie Pana Cogito” jest tragicznym apelem – w imieniu honoru i wierności. Do wierności odwołuje się też jego szkic „Duszyca” w tomie „Labirynt nad morzem”.

FS: Wiem, że Tobie został dedykowany, z czego jesteś dumny. Lecz czy to aby nie jest wołanie na puszczy.

ZN: Nie jestem optymistą, ale też nie mam zamiaru się poddawać. Kiedy mnie wyciągają na wspomnienia o Zbyszku Herbercie, pada zwykle pytanie: na co wyście liczyli w roku 1951, odmawiając kolaboracji z komuną. Otóż nie liczyliśmy na nic. Ta etyka, o której mówisz, etyka wierności i honoru, nie odwołuje się do skuteczności i nagrody.

FS: Nie sądzisz chyba, że taką etykę mogłyby przyjąć nowe elity „z ich odwiecznymi lękami oportunistów”, jak się wyraził Zygmunt Kubiak?

ZN: Myślę, że głęboką przyczyną tego kryzysu, tej nawet zapaści moralno-ideowo-kulturowej, jaką widać w dzisiejszej Polsce, jest słabość, a często wręcz kapitulacja elit. To jest sprawa ciągnąca się od dwu pokoleń, chociaż nadal niejasno widziana. Nasi okupanci niemieccy i sowieccy wiedzieli, co robią, kiedy ze staranną nienawiścią wybijali elity. Tylko kiedy się mówi o elitach ma się zwykle na myśli inteligencję. Otóż moim zdaniem nie mniej ważny jest fakt, że wybito i zniszczono innymi sposobami elity przywódcze wśród chłopów, robotników i rzemieślników. To byli ci, którzy stanowili bezpośrednie wzory dla swojego otoczenia. Wśród nich było najwięcej ofiar w okresie stalinowskim. I te właśnie elity najstaranniej i najskuteczniej rozbijano w stanie wojennym. Częściowo znalazły schronienie za Atlantykiem, i tam osiągnęły sukcesy życiowe – ale w Polsce ich zabrakło i to się dzisiaj odbija.

FS: Wróćmy do Conrada. Coz twoim projektem muzeum w Berdyczowie, gdzie się urodził?

ZN: Wiesz, to pytanie równie aktualne jak bolesne. Jakiś czas temu ogłosiłem (w „Rzeczypospolitej”) w imieniu Polskiego Towarzystwa Conradowskiego list otwarty, stwierdzający, że musimy zrezygnować z planów. Mimo wielokrotnie deklarowanego poparcia kół rządowych w Kijowie, naszego rządu, ambasad brytyjskiej i francuskiej, itd., władze miejscowe od pięciu lat skutecznie blokują naszą inicjatywę. Ciężko idzie na Ukrainie; dość wspomnieć muzeum Słowackiego w Krzemieńcu, którego otwarcie jest od lat odkładane – mimo finansowania przez rząd RP. Ciężko idzie. Z Litwą dokonaliśmy przełomu, są wspólne sesje sejmów (litewski nazywa się „sejmas”) – a

na Ukrainie trzeba się ciężko borykać. Ale próbujemy.

Od redakcji: Muzeum Józefa Konrada Korzeniowskiego w Berdyczowie, dzięki wielkiemu zaangażowaniu prof. Zdzisława Najdera oraz Polskiego Towarzystwa Conradowskiego udało się otworzyć w 2015 r. Oto wypowiedź prof. Najdera na ten temat dla Polskiego Radia:

FS: Czy *casus* Conrada może posłużyć emigrantom polskim rozszanym po świecie za pomocny drogowskaz?

ZN: No wiesz, geniusze, wielcy ludzie, rzadko mogą służyć za praktyczne drogowskazy. Choćby dlatego, że są z zasady wyjątkowi. Chyba, że działają w ramach zbiorowości; ale już taki Norwid mógł być „drogowskazem” tylko w sensie intelektualnym.

FŚ: A w sensie osobisto-duchowym?

ZN: W takim prywatnym sensie Conrad, który żył w cieniu pamięci o rodzicach, którzy wszystko poświęcili dla Polski, i zarazem aż do roku 1918 w cieniu przekonania, że sprawa polska jest na zawsze stracona – uczy nas, że choćby świat dokoła stawał się nieznośny, trzeba robić swoje, trwać przy zasadach, szukać sensu życia we własnej pracy. No ale takie nauki są dla nas, dla ciebie Florianie i dla mnie, łatwiejsze niż dla innych – bo zawsze możemy znaleźć ucieczkę w naszych książkach.

Zdzisław Najder. *Sztuka i wierność. Szkice o twórczości Josepha Conrada*, Uniwersytet Opolski 2000 r.

Księżycowy pejzaż Mono Lake



Mono Lake, fot. Jacek Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Po długiej drodze przez szarobrunatne, wulkaniczne ciągnące się setki mil pasmo łańcuchów górskich **Sierra Nevada**, z wyschniętą roślinnością wdzierającą się w kamienną przestrzeń otaczającą horyzont, zatracą się zachwyt nad potęgą natury, przerastającą człowieka swoim ogromem. Zmęczony skalistą monotonią krajobrazu wzrok, pragnie choć na chwilę zatrzymać się w jakiegokolwiek życiodajnej oazie. Gdy więc nagle zza gór wyłania się srebrzysta, o kapryśnych kształtach, księżycowa sceneria **Mono Lake**, wydawać się to może nierealną fatamorganą.

Mark Twain, pisarz, dziennikarz, poszukiwacz złota i podróżnik, który dotarł do najbardziej dzikich zakątków Ameryki, nazwał to ukryte wśród pustynnej przestrzeni jezioro, **Morzem Martwym Kalifornii**. Rzeczywiście, zasolenie jeziora jest prawie

tak duże, jak Morza Martwego z terenu Izraela i Jordanii. Jednak nie tylko zasolenie mogło nasunąć takie skojarzenie. Widok na **Mono Lake** przypomina zarówno scenerię z filmów *science fiction*, miasto przyszłości wyniszczone cywilizacją, jak i historię planety Ziemia z wyłaniającymi się z wody, zastygłymi w bezruchu, kamiennymi tworami. Jezioro wraz z **wyspą Paoha**, powstała w wyniku wulkanicznej erupcji sprzed 335 lat, jest jednym z niewielu miejsc na świecie, tak aktywnych, by utworzyć wokół siebie ogromną przestrzeń tufowych labiryntów. **Tufa** powstałe na skutek reakcji chemicznej dużych ilości wapnia z dwutlenkiem węgla tworzą rozległe, różnorodne kompozycje, niespotykane formy o wielości kształtów, zmieniające swą kolorystykę w zależności od pory dnia i pory roku.

Przedzierając się przez biało-złoty skalny gąszcz, pokłóci kolczastą, pastelową bylicą rosnącą wzdłuż tufowych traktów i wypełniającą wapienny płaskowyż, gonimy unikatową chwilę, zachowaną potem na fotografii. Wrażenie jest ogromne. Wydawać by się mogło, że to co widać, to starożytne opuszczone miasto, ruiny Babilonu, czy przysypanej wulkanicznym popiołem Pompei, kamienne, mitologiczne posągi, biblijne postacie z Sodomy i Gomory, złote maski ze skarbu Inków czy indiański totem. Gdzieś w tych kamiennych tworach zamknięty jest czas, czas natury i czas legend.

Zanim na amerykański kontynent przybyli Europejczycy nad jeziorem Mono żyło indiańskie plemię zwane **Kutsavi**. Życie tej małej społeczności ściśle związane było z biologicznym cyklem jeziora, współgrało z życiem ogromnej ilości zamieszkującej nadbrzeże dzikiego ptactwa, poddawało się prawom natury. Głównym źródłem pożywienia tej grupki Indian, były bogate w białko i tłuszcz poczwarki muchy kutsavi. Wielkością przypominały ziarnka ryżu, łatwo można było je przechowywać i służyły do przygotowywania najrozmaitszych potraw. Plemię zamieszkiwało te tereny jeszcze w XIX wieku. W 1863 roku zawitał w te strony pewien znany geolog. Indianie poczęstowali go swoją potrawą. – Smakowało dobrze – napisał później w swoim dzienniku – Gdyby tylko zapomnieć o pochodzeniu, byłaby z tego świetna zupa.

Sierpniowa kalifornijska noc, to mnóstwo gwiazd i wielki księżyc, tym większy, że w podwójnym odbiciu na płaszczyźnie nie skażonego jeszcze cywilizacją jeziora. Gwiazdozbiory, przerastające ludzką wyobraźnię, od zawsze prowokowały powstawanie legend. Indianie znad Mono Lake, też snuli swoje opowieści.

Trzej indiańscy myśliwi gonili niedźwiedzia. Niedźwiedź uciekając tak wzbił się w górę, że dosięgnął nieba. Myśliwi jednak nie zaprzestali pogoni. Strzelali do niego z indiańskich łuków. Ze zranionego niedźwiedzia kapła krew i stąd jesienią liście robią się czerwone. Kapał też tłuszcz, dlatego liście jesienią żółkną. Niedźwiedź zatrzymał się na niebie, a za nim ciągle widać trzech myśliwych.

Dzisiaj nikt już takich legend nie pamięta. Kultura indiańska stała się towarem, sprzedawanym na każdym rogu ulicy. Nie ma już plemion żyjących zgodnie z naturalnym cyklem przyrody. **Mono Lake** żyje jednak swoim życiem. Dzikie ptactwo budzi się co rano i zanosi swój śpiew pod wulkaniczne góry, skąpane w czerwieni wschodzącego słońca, a wieże tufowe, zastygłe, nieruchome, niezmiennie, zamykają w sobie tajemnice naszej planety.

Twórczość Polskich Artystów Plastyków w Kanadzie.

Katarzyna Szrodt



Andrzej Pawłowski

Twórczość polskich artystów plastyków w Kanadzie to temat złożony, mający swoją ponad siedemdziesięcioletnią historię, gdyż pierwsi artyści plastycy pojawili się w Kanadzie w wyniku wojennej tragedii, po 1939 roku. Przed przedstawieniem tego tematu na międzynarodowej konferencji naukowej: „Polacy i Diaspora Polska w Ameryce Północnej”, zorganizowanej przez Muzeum Emigracji w Gdyni, chcę podzielić się z czytelnikami Culture Avenue kilkoma ogólnymi informacjami dotyczącymi tego ważnego dla polskiej i kanadyjskiej historii sztuki rozdziału.

Trudno dziś sobie wyobrazić, jak wyglądałaby ewolucja diaspory polskiej w Kanadzie, gdyby nie została ona zasilona przez trzy kolejne fale inteligencji i artystów, przybyłe w wyniku wojny i jej politycznych następstw. To dzięki przedstawicielom polskiej elity przedwojennej: dyplomatom, naukowcom, inżynierom, artystom plastykom, pisarzom i dziennikarzom, powstały polskie instytucje naukowe i kulturalne, i nawiązała się współpraca między kanadyjskimi instytucjami nauki i kultury. Kanada nigdy nie była kolebką sztuki i zawsze byt

artysty połączony był z dużym wysiłkiem i wyrzeczeniem. Jeśli los imigranta jest długą, trudną drogą w nowym społeczeństwie, w odmiennym języku i kulturze, to los imigranta - artysty jest jeszcze trudniejszy, jeśli zamierza on kontynuować twórczość poza własnym krajem. Sztuka wymaga odbiorcy, twórca potrzebuje środowiska, wymiany myśli, by rozwijać się i tworzyć. Społeczeństwo kanadyjskie, jak i diaspora polska, nie byli i nie są wdzięcznymi odbiorcami, ani nabywcami dzieł sztuki. Artystów fali wojennej, obejmującej lata 1939-1955, przecierali ślady w Kanadzie i to dzięki ich wysiłkom polska sztuka została zauważona. Z tej grupy znane są nazwiska około stu plastyków (malarzy, rzeźbiarzy, ceramików, tkaczy), legitymujących się dyplomami polskich i europejskich uczelni artystycznych, z których do najaktywniejszych trzeba zaliczyć: **Marię i Romana Schneiderów, Krystynę Sadowską, Eugeniusza Chruścickiego, Rafała Malczewskiego, Genowefę Staroń, Henryka Hoenigana, Bronkę Michałowską, Edwarda Koniuszego, Stefana Kątskiego, Zofię i Annę Romer.**

Nigdy nie będzie polskim artystom tak łatwo i trudno zarazem - przecierali ścieżki do muzeów, galerii kanadyjskich, dekorowali wystawy sklepowe, brali udział w targach sztuki i rzemiosł, organizowali wystawy w salach parafialnych i na bazarach polskich uważając, że każda okazja jest dobra, by pozyskać polskiego i kanadyjskiego odbiorcę.



Bożena Happach, *Gymnaste*.

Drugą falę emigracji artystycznej do Kanady, zwaną falą PRL-owską, z emigracją 1968 roku, tworzy niewielka grupa około pięćdziesięciu twórców, z których wybili się i utrzymywali ze sztuki: **Tamara Jaworska, Liliana Lampert, Joanna Staniszkis, William Markiewicz, Kazimierz Głaz, Jerzy Kołacz, Andrzej Pawłowski, Zbigniew Kupczyński, Waldemar Smolarek, Witold Kuryłłowicz i Alfred Hałasa.**

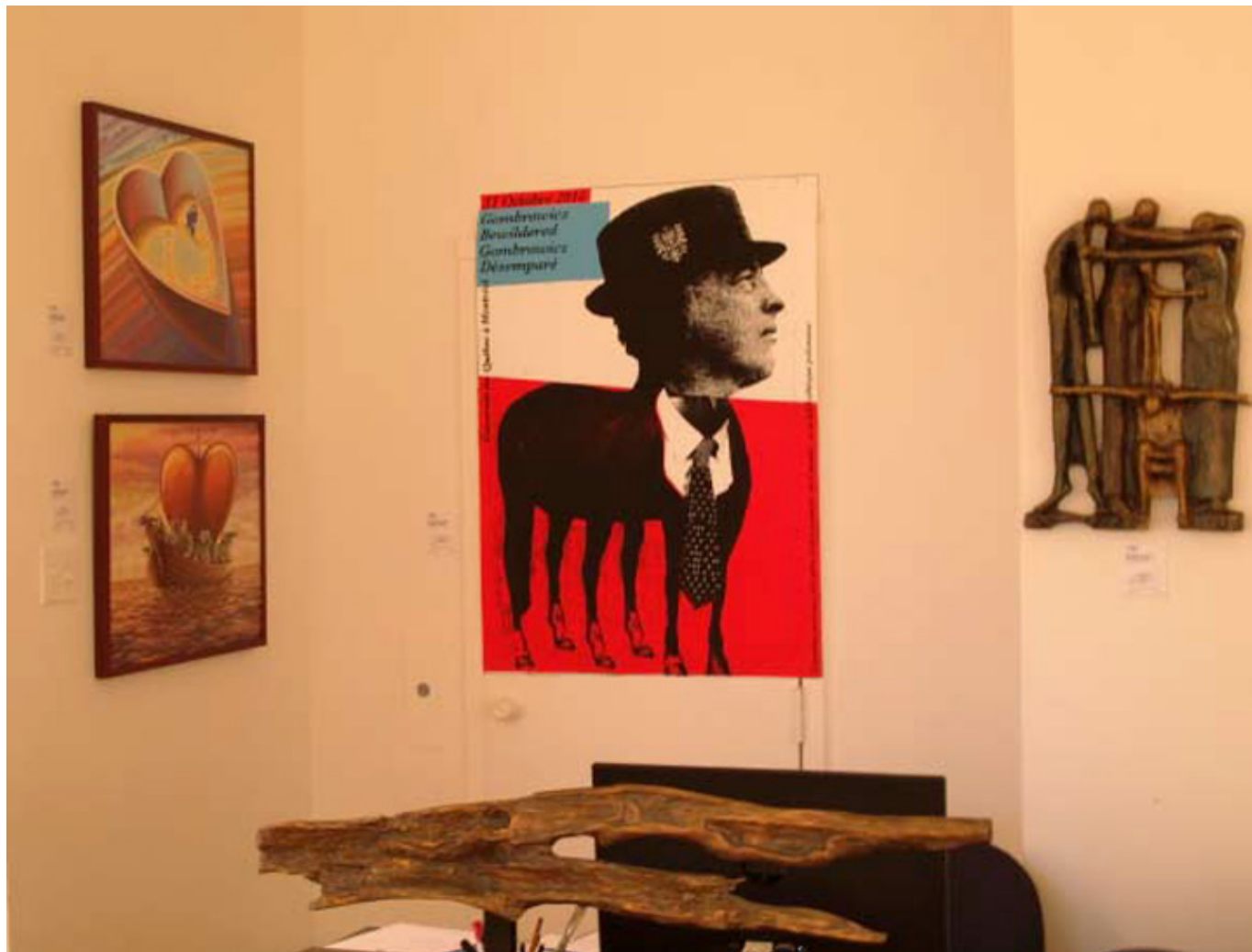


Adam Kołodziej

Lata 60. i 70. w Kanadzie to czas intensywnego rozwoju, rozrasta się Toronto, przyciągając teraz więcej artystów niż Montreal. Rośnie zapotrzebowanie na sztukę w budujących się drapaczach chmur, instytucjach publicznych, przestrzeni miejskiej. Dzięki prospericje ekonomicznej polscy artyści mają pracę, czego ślady, w postaci rzeźb, gobelinów, murali, można odnaleźć do dziś w Toronto, Vancouver, Ottawie i Edmonton.

Dużym wstrząsem wyzwającym zmiany w polskiej diasporze było pojawienie się w Kanadzie trzeciej fali emigracji, zwanej falą solidarnościową. Była to poważna zmiana oblicza Polonii kanadyjskiej: odmłodzenie jej, ożywienie, przefiltrowanie nowymi prądami politycznymi, społecznymi i kulturalnymi. W liczbie 130 tysięcy emigrantów znalazło się około stu artystów, z których większość osiadła w Toronto, Vancouver, Edmonton, Calgary. Liczba ta pozostaje ruchoma, gdyż wielu plastyków powróciło do demokratycznego kraju, inni znaleźli lepsze warunki w Stanach Zjednoczonych, a część krąży między starym kontynentem a Kanadą. Z dużej grupy aktywnych na kanadyjskim rynku polskich plastyków, imigrantów lat 80. Wybili się m.in.: **Ludmiła Armata, Regina Czapiewska, Jerzy Denisiuk, Tadeusz Biernot,**

Leszek Wyczółkowski, Bożena Happach, Irena i Adam Kołodziejowie, Wojtek Nowakowski, Zbigniew Pospieszyński, Wiktor Zajkowski-Gad, Janusz Migacz, Jan Delikat, Piotr Królikowski.



Alfred Hałasa

Działalność polskich artystów plastyków na emigracji w Kanadzie jest otwartym i ciągle toczącym się procesem twórczym. Artyści dzielnie walczą o swoje miejsce w kanadyjskiej sztuce, starając się łączyć swoją polską tożsamość z wielokulturowym melanżem, jakim jest Kanada. Jednak dla wielu możliwość pokazania swojego dorobku w ojczyźnie i konfrontacja ze sztuką w kraju – stanowią marzenie-celwyzwanie.

Na Peloponezie



Florian Śmieja

NA PELOPONEZIE

W szczęśliwszych dla wojaży czasach

żyłeś Juliuszu

Mogłeś oglądać grób Agamemnona

i wydumać poemat o połowie walecznych.

*Ja wiem, że grobu nie ma
żadnego poematu o narodzie
nikt nie napisze, o tych
co zyskawszy swobodę rozgrabili mienie
przestali rodzić mężów o uczciwych sercach
i rękach czystych. Jakaś zaraza
stoczyła do cna ich dusze
skorumpowała plemię tak gruntownie
że wstyd się dzisiaj przyznać do Polaków
tyle wśród nas niegodziwości i występku.*

MYKENE

*Z tego miejsca strapiona Klitajmestra
obserwowała feralne okręty
powracającego Agamemnona
inicjując mityczną hekatombę
Z jej warowni pozostały kamienie
Przetrwała saga o okrutnym losie
Bo zła fortuna mocniejsze ma zręby
niż ludzką ręką stawiane opoki.*

HEGEMONIA

*Peloponeska, jak wszystkie wojny,
także była o hegemonię.*

*Ludzi pokornych nie unosi pycha
oręża nie potrzebują zgodni.*

*To hardy głosząc samowolę
tryumfuje do czasu
zostawia labirynty, kazamaty
baszty w ruinie, kruszące się mury.*

*Czas ułagodził dzieje
niepewnej historii
pomieszał nieprzyjaciół.*

*Przetrwały krwawiące maki
i żółte kielichy, jaszczurki
zwinne na kamieniach.*

*Morza nadal chłodzą
rozpaloną ziemię
w pysznej iluminacji dnia.*

KŁĘSKA POD TERMOPILAMI

*Kiedy zajechaliśmy do Termopil
słońce było już nisko a zostało
jeszcze sporo drogi do hotelu.
Więc sine pasma gór wyspy Eubei
pamięć o trzystu hoplitach
sprzed dwu mileniów
zmęczonym turystom
darował wyrozumiały przewodnik.*

SALOMON

*Bardzo mądry był Salomon
miał sto żon
a wszystkie śliczne
wabne lecz wyrozumiałe
przeświadczone zapewne
że egzotyczna Saba
nie zawładnie sercem
ich pana na długo.
Dawno rozwiązały dylemat*

czy lepiej być jedyną
nałożnicą osiłka
czy kochać się w zorzy?

POWRÓT Z GRECJI

*Kiedy samolot o świcie oderwał się od ziemi
i w tyle pozostawił budzące się Ateny
przystało mnie obchodzić tyle, zdawało się, ważnych spraw.
Sąsiad Grek z bezczelnością, jak się miało okazać,
pewnego siebie biznesmena
w lot poinformował mnie, co myśli o Turkach
prymitywnych wojownikach, co nic nie stworzyli
i o sukcesach swoich bogatych ziomków
równie chytrych jak on ludziach interesu.
A ja sądziłem, że w powietrzu
człowiek ma tylko jedno zmartwienie:
by wylądować bez szwanku.*

Meandry miłości. Problematyka powieści Zofii Romanowiczowej „Sono felice”.

Włodzimierz Wójcik

Florianowi Śmieji – profesorowi iberystyki

i poecie – z wyrazami przyjaźni...



Zofia i Kazimierz Romanowiczowie w swoim ówczesnym paryskim mieszkaniu, przy rue Debelleye, wrzesień, 1998 r, fot. Kubik.

I

Powieść *Sono felice* została ogłoszona drukiem w roku 1977. Wcześniej ukazały się następujące utwory prozatorskie Romanowiczowej: *Baśka i Barbara* (1956), *Przejście przez Morze Czerwone* (1960), *Słońce dziesięciu linii* (1963), *Szklana kula* (1964), *Próby i zamiary* (1965), *Łagodne oko błękitu* (1968), *Groby Napoleona* (1972). Później w Bibliotece „Kultury” wydała *Skrytki* (1970) oraz *Na wyspie* (1984). Do tego dochodziły artykuły oraz przekłady poezji prowansalskiej. Wreszcie pisarka wydała drukiem kolejną – chyba już ostatnią – powieść *Ruchome schody* (1995).

Tak więc przywołana powieść jest dziełem pisarki o wieloletnim doświadczeniu twórczym. Jej dotychczasowe utwory powstawały i ukazywały się w druku w określonym rytmie, ale rytmie niespiesznym, co świadczy o jej doskonale uformowanym warsztacie.

Akcja powieści toczy się kilkanaście lat po zakończeniu drugiej wojny światowej w Paryżu i w jego najbliższych okolicach. Rzecz przebiega, podobnie jak w klasycznym dramacie, w czasie krótszym, niż jedna doba. Od południa jednego dnia do piątej rano dnia następnego. Treść jest dość banalna i schematyczna. Kobieta wychodzi niespodziewanie z domu nie powiadamiając będącego w pracy męża. Wywołana przez telefon spędza kilka godzin ze starym przyjacielem, który – po latach niewidzenia – z Rzymu „wpadł” do stolicy Francji, aby zadać jej jakieś ważne, osobiste pytanie. Nad ranem – po kolacji w okolicach Notre Dame i drinkach z tańcami w jakiejś piwniczce – gość odlatuje do Włoch, kobieta wraca do domu. Zazdrosny mąż – jak się można domyślić – zabija ją kulą z Waltera.

Nic szczególnego, a jednak.

To, co najważniejsze mieści się w warstwie fabuły. W czasie przygotowań bohaterki Teresy do spotkania, i w czasie spotkania, w warstwie retrospektywnej dokonuje się poniekąd rekonstrukcja swoistej taśmy filmowej, porozrywanej, ale i sklejaney na nowo wedle chronologicznego porządku. Jak tedy wygląda ten ciąg fabularny?



Zofia Romanowiczowa, fot. archiwalna.

Oto kilka zdań na ten temat. Kilkunastoletnia Polka wychodzi z niemieckiego łagru w Bawarii. Przez pewien czas – podobnie jak wielu innych *dipisów* – pozostaje w okolicy w jakiejś willi zaanektowanej Hrabiny. Jest to faza pytań. Co dalej? Dokąd się udać po światowym kataklizmie, po nazizmie, po „czasach pogardy”? Na alpejskiej łące, na której wypoczywa, poznaje nieznanego człowieka o nieustalonej narodowości. Dopiero później – po pewnych przekomarzeniach – dowiaduje się, że jest Polakiem, byłym jeńcem. Dziewczyna przypadkowo uzyskuje wiadomość, że we Włoszech, w polskich środowiskach wojskowych ma szansę zrobić maturę. Wiedzioną głodem wiedzy po koszmarze łagru, udaje się na Południe. W środowiskach polonijnych poznaje Szymona, polskiego korespondenta wojennego. Ten, człowiek w sile wieku, niegdyś edukowany w Paryżu, zabiera ją na „reporterskie wypadki” do okupowanych przez aliantów Niemiec widząc u niej pewne zadatki na pisarkę. Kupuje jej nawet w prezencie maszynę do pisania. Między nimi następuje bardzo delikatna zażyłość, którą można nazwać subtelną grą uczuć. Szymon kieruje

dziewczynę do zakonnej szkoły średniej. Po zdaniu przez nią matury skłania ją do podjęcia studiów na Sorbonie, w Paryżu opromienionym legendą Ronsarda i Kochanowskiego. Ułatwia jej ten krok na miarę swoich możliwości. Z uczuciem pewnego odsunięcia się od niej Szymona, na nowym miejscu życia, dziewczyna poznaje topografię wymarzonego miasta jednocześnie studiując i dorywczo pracując. Poznaje mężczyzn (Miklosz), po pewnym czasie wychodzi za mąż za Karola, który ją w stolicy Francji odnalazł.

Ciąg fabularny powieści podszyty jest grozą okrutnej HISTORII, znaczonej nazizmem, działaniami zbrojnymi, eksterminacją różnych narodowości. Jednak w głównym planie ta okrutna historia występuje jedynie w kształcie aluzji; jest swoistym – żeby użyć terminu Zofii Nałkowskiej – „widzeniem dalekim”. Romanowiczową interesuje jednak głównie „widzenie bliskie”. Pisarka skupia uwagę na poszczególnych osobowościach, obserwuje struktury osobowe tych, których poraził nazizm, totalitaryzm, których naznaczyły „czasy pogardy”.

II

Sono felice to powieść nie o wielkiej historii, ale o relacjach – w wielu przypadkach intymnych – w tym przypadku pomiędzy Teresą a jej partnerami: Szymonem, Karolem i Mikloszem. Ideą przewodnią utworu jest poszukiwanie szczęścia przez dziewczynę złańioną ciepła, delikatności, intymnego bezpieczeństwa. Ta sprawa misternie inkrustuje tok narracji w postaci pojawiającego się zwrotu: *sono felice*, czyli „jestem szczęśliwa”, zwrotu, który w końcu powieści odgrywa kluczową rolę.

Związki między Teresą a Szymonem cechuje delikatna opiekuńczość, niemal rodzicielska, ale opiekuńczość nie pozbawiona „podszewki” erotycznej. Sygnalizuje to dbałość o zapewnienie wygłodzonej więźniarce dostatniego, niekiedy luksusowego życia, a nade wszystko bezustanne zabiegi zmierzające do jej intelektualnego, duchowego rozwoju. Szymon, mistrz narracji reportażowej, doświadczony dokumentalista, mówi:

Nie wiem jak tam z twoim pisaniem. Nazwiska sobie chyba nie wyrobiłaś, doszłyby mnie słuchy. Ale masz czas. [...] Kiedyś przynaglałem cię, prawda, ale to było po

to, by cię ustawić do startu, byś uwierzyła, że jeśli zechcesz, potrafisz. Jesteś wciąż młoda, wciąż masz czas, nic się nie pali. Tylko na bycie szczęśliwym nie ma chwili do stracenia. Jeszcze moment i może być za późno. [SF 102][1]

[...] patrz – przypatruj się, bierz, owszem, udział, wypróbuj nawet na sobie, ale powiedz sobie raz na zawsze: cokolwiek się dzieje, ty obserwujesz do krajobrazów. (...) Trzymaj się wyłącznie Pegaza, gdyż upadki z Pegaza są bardziej od innych bolesne. Ale ty potrafisz utrzymać się w siodle. Ty możesz. Ja ci to przepowiadam, ja to w tobie czuję. (...) Ja jestem świadek. Nie muszę aż trawić, muszę tak patrzeć by widzieć. A co zobaczę, zaraz opowiedzieć dla tych, którzy nie widzą, chwycić to dla nich na gorąco, w trakcie, z najmniejszą możliwie przeróbką. (...) Ja świadczę, rejestruję, nagrywam. Może tacy jak ja są po to, by takim jak ty zbierać budulec? [SF 104]

III

Najbardziej skomplikowana, pogmatwana, meandryczna okazuje się relacja pomiędzy Teresą a Karolem. Historia ta została oparta na swoistej... nie „komedii”, ale właśnie „tragedii pomyłek”. Skończyła się też – niestety – prawdziwą tragedią. Poznała go podczas odpoczynku na alpejskiej łące w szczególnym stanie ducha. Po udrękach obozu, w którym bezustannie podczas rutynowych apeli, była wystawiana – niczym na targu niewolników – na widok publiczny, była niejako „na oku” strażników, szukała bezpieczeństwa samotności, intymności, które miały jej ułatwić określenie własnej tożsamości. Nic dziwnego, że po wyzwoleniu nie mogła już znieść innych zniewoleń:

Każdy z mijanych mężczyzn zahaczał o nią spojrzeniem. Właśnie, zahaczał. To były spojrzenia-harpuny, była rybą do złowienia. Potykała się w pantofelkach Hrabiny, stropiona, tropiona oczami głodomorów. [SF 84]

W tej konkretnej sytuacji dziewczyna znajduje pewien świat wolności i bezpieczeństwa pośród świata książek przypadkowo zgromadzonych w jednym z baraków:

Dopadła biblioteki, barakowego azylu. Sam zapach papieru i kurzu, cisza, ostrożne

stąpienie, przywracały poczucie bezpieczeństwa. Za oknami mogły zbierać się jakie chciały burze, tu była świątynia słowa. Drukowanego. [SF 84]

Uwolnionych przez aliantów *dipisów* „polowania na Fraulein, które ją i jej towarzyszki przejmowało tak patriotyczną zgrozą” [SF 84] zaważyły na relacjach pomiędzy Teresą a Karolem, który – jak się później okaże – w stalagu czy oflagu, po prostu

(...) bez pasa, bez broni, bezwolnie przeleżał pięć lat na pryczy, przegrał w brydża, przespacerował po dziedzińcu, patrząc na niedostępne góry, tak bliskie, na o każdej porze roku inaczej zabarwione łąki. Jego narzeczona zdążyła tymczasem wyjść za mąż. Nawet się chyba nie zdążyli pocałować. [SF 84]

Romanowiczowa pokazuje swoistą ironię złośliwego losu. Oto jeszcze anonimowy Karol zagaduje Teresę po niemiecku – *Fraulain* – i niejako z miejsca kwalifikuje się do tej prostackiej grupy polujących na kobiety pokonanego narodu. Teresa, wiedzona rodzajem przekory, odpowiada po niemiecku. Kiedy okazuje się, że jest Polakiem, gotowym do kontaktu z Niemką, stawia przy nim znak zapytania. Kolejne spotkania niby coś zmieniają w ich stosunkach, doprowadzają do związku małżeńskiego, ale uraz pozostaje.

Związek małżeński Teresy z Karolem jestznaczony bezustannym niedosytem. Pojawiają się w nim wciąż zahamowania. Kobieta bezustannie przeciwstawia oszczędnego Karola, z Szymonem, człowiekiem o szerokim geście. Uładzony Karol okazuje się nieco mdły na tle rozbuchanego seksem Miklosza. Wartościowy Karol bezustannie ją irytuje:

Nie na wiele zdał jej się niemiecki, nawet zaszkodził, choćby wtedy na łące, z Karolem. No a z Karolem po polsku czy po niemiecku, czy się porozumieli? Czy się kiedykolwiek dogadali? Nawet porozumienie ciał było między nimi potencjalne, pewność i niepewność, ogarek nadziei. Parę iskier. [SF 128]



Zofia i Kazimierz Romanowicz przed wejściem do Hotelu Lambert w 1962 r., fot. Archiwum Emigracji, Biblioteka Uniwersytecka, Toruń.

IV

Natomiast związki Teresy z Mikloszem mają już inny charakter. Ten południowy Słowianin, charakter zdobywczy, tryskający energią, bezustannie zmieniający bezwolne partnerki, tryskający seksualizmem i erotyzmem, prowadzi z byłą więźniarką z Polski swoistą grę:

Mikloszowi poszło z Teresą nie tak prędko i nie tak łatwo. A raczej nie tak po prostu. Może dlatego chwycił ją w mocniejsze szpony i – nie będąc nigdy jej pewny, dłużej na niej wypróbowywał swej władzy. Dłużej łudziła jego złośliwe pragnienie.

Zła kolejność, kolejność pechowa. Gdyby z Karolem nie byli z góry zahamowani, z odmiennych a właściwie analogicznych powodów, gdyby nie było tej pierwszej, nie

chcącej zagoić się kompromitacji na bawarskiej łące! (...) Obyłoby się bez Miklosza, doskonale mogłoby się obyć.

Miklosz był wszystkim, czym Karol nie mógł być, także i z jej winy. [SF 82]

A Miklosz? O, ten jak Szymon nie musiał machać ręką i żołądkować się, że kelner go ignoruje. Nie dłubał za drobnymi w portmonetce, nie oglądał menu wywieszonego na ulicy, kalkulując czy obok nie będzie taniej. Nie pracował, nie zarabiał, miał i wydawał bez liczenia.

Jednak z Mikloszem nie w głowie im było jedzenie, coś przełknęli, czymś popili, byle jaknajszybciej wyjść i najdłużej być razem.

Miklosz nie starał się, tak jak Karol, kamuflować swego cudzoziemskiego akcentu. Nie był żadnym emigrantem, naturalizowanym czy nie. On był Cudzoziemcem właśnie, był Obcym, zawsze i wszędzie cudownie obcym, innym, skądinąd. Nie nosił wstążeczek orderowych, po co? Choć musiał ich pewno mieć całą kolekcję. Wojenną przeszłość miał wypisaną na twarzy, w sposobie bycia. Nie rozwodził się też ględząc nad swymi wyczynami, nie rozbudowywał legend o byłych bojach, nie weryfikował się, żebrząc o zaświadczenia. Coś mu się tam czasem przypominało, mimochodem i to mimochodem było takie, że zapierało dech..

A może kłamał, mimochodem? Może ta szrama na policzku także kłamała, stanowiła jedno z akcesoriów, jedną z masek? Czasami Teresa czuła że ociera się o coś zwodniczego, coś teatralnie próżnego, nie zdanie lecz tyrada w odgrywanej po raz setny roli bohatera i kochanka. Długo nie chciała wierzyć samej sobie, przeciwnie, zaciskała powieki by sobie i jemu ułatwić oszukiwanie.

Bo przecież tak na dobrą sprawę Zwodziciel został przez nią zwiedziony, ona jego też w końcu oszukała, nie tylko samą siebie. Cały czas oszukiwała go, bo gdy myślał, że już zdobyta, już zaliczona, ona wciąż należała do Karola, a gdy zdobytą już, więc unieważnioną, odrzucał, ona właśnie i tak miała odejść. To znaczy wrócić. Do Karola.

Właśnie, chyba tak. Z jej strony oszukiwane, bo pomyłka. Ze strony Miklosza oszukiwanie, tak, ale też i pomyłka, mała pomyłka, która... Gdyby wiedział!

To było zresztą tak dawno, ile lat? Miklosz, być może, zmienił się, postarzał, z siły wieku tak łatwo przejść w starość. Miklosz postarzały? Podtyty, jak jego sobowtór w kawiarni? To by ją dopiero na dobre wyleczyło. [SF 88-89]



Zofia Romanowiczowa zrobiona przez córkę Barbarę w Jours w 1987 r.

V

Powieść Romanowiczowej posiada znamiona sztuki teatralnej. Od początku akcji czuje się, że nad światem przedstawionym w utworze wisi tragedia. Sygnalizuje to bezustannie pojawiający się motyw Waltera, pistoletu, w który zaopatrzył się Karol pragnący w jakiś sposób zrekompensować wcale nie bohaterski, nawet nudny, nieciekawym sposób życia w jenieckim obozie. Romanowiczowa prowadzi narrację

tkając poszczególne wątki i motywy niczym misterną materię tak, że wzajemnie się określają, uwydatniają, wyjaśniają. Bezustanny okrzyk: „Sono felice” oznacza łaknienie szczęścia i jego szukanie; marzenie o biblijnym raju, zaludnionym przez Adama i Ewę. Ci szczęśliwi prarodzice człowieka współczesnego wypełniają powieść niemal po same brzegi. Ważną konstrukcyjnie rolę pełni motto utworu w postaci elegii Jana Kochanowskiego (III, 8) w przekładzie Juliana Ejsmonda *Do Karola*, elegii, której szczególny fragment przewija się przez tok narracji, a mówi o śmierci Henryka, który „zginął śmiercią tak okrutną”:

Teraz, w czasie pokoju y zabaw rycerskich

Krwią ciekący porwanyś za wody Styxowe,

Tam, gdzie światłość przechodzi przez szparę w przyłbicy

Straszna kopia przeszła ci na wylot głowę.

Śmiercią okrutną - ironia losu - ginie Teresa. Wróciła do domu z ostatecznym przekonaniem, że jedynie Karol jest jej najbliższym człowiekiem. Mówiąc, że jest szczęśliwa właśnie z nim, niebacznie - przez pomyłkę - przywołuje imię Miklosza. Znekany latami zazdrości Karol zabija Teresę. Kula z Waltera przechodzi przez czoło, właśnie „przez szparę w przyłbicy”.

Okazuje się, że powieści Romanowiczowej zwykle bywają utworami o relacjach pomiędzy jednostkami ludzkimi. Łączy je ze sobą niemal ta sama narratorka-bohaterka, która przeszła piekło więzień hitlerowskich i obozów koncentracyjnych „czasów pogardy”. Zazwyczaj to, co najgorsze jest już za nią; poszukuje zwykle możliwości wejścia w życie „normalne”. Jednak dramatyczna przeszłość w każdym przypadku wlecze się za nią to nękając ją, raniąc, to znów prowadząc do najbardziej skrajnego finału, do śmierci. Jeśli przedmiotem refleksji w niniejszym artykule jest powieść *Sono felice*, to głównie dlatego, iż wydaje się pokazywać najbardziej skomplikowaną wersję ludzkiego losu w dwudziestowiecznej rzeczywistości europejskiej...

[1] Wszystkie cytaty oznaczone skrótem SF pochodzą z wydania: Z. Romanowiczowa: *Sono felice*. Londyn 1977. Cyfry arabskie po skrócie oznaczają stronę.

Zofia Romanowiczowa, urodzona w 1922 r. w Radomiu, zmarła w 2010 r. w Lailly-en-Val we Francji, polska pisarka i tłumaczka emigracyjna.

Włodzimierz Wójcik, prof. Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, były dziekan Wydziału Filologicznego, zmarł w 2012 roku.

Drugie życie Beatelsów.

Zazdroszczę teraz takim Bootelsom, że mogą bawić się naszymi ulubionymi utworami, kreując je na nowo po swojemu, choć w duchu oryginałów... zawsze będę kibicował takim zapaleńcom jak czwórka z polskiego Liverpoolu – Łodzi.

Piotr Metz – krytyk muzyczny

Rozmowa z gitarzystą Piotrem Jełowickim, założycielem zespołu The Bootels.



Piotr Jełowicki podczas koncertu.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: The Bootels to zespół, który gra repertuar legendarnego zespołu The Beatles. Jednak na Waszych koncertach słysząc, że muzyka Beatlesów dostała nową energię. Na czym polega różnica w wykonaniu znanych od kilku dekad utworów?

Piotr Jełowicki: Utwory przez nas wykonywane są zagrane dużo bardziej energetycznie, ostrzej i z przesterami. Traktujemy Beatlesów tak jak wielkich klasyków: Bacha, Mozarta, Beethovena. Grając Beatlesów czujemy się jak filharmonicy wiedeńscy wykonujący dzieła wielkich mistrzów. Chodziło o to, żeby stworzyć pomost między muzyką lat 60., czyli epoką w której tworzyli Beatlesi, a czasami współczesnymi, dlatego zagranie tych utworów w nowych aranżacjach z większą energią powoduje, że są one odbierane dużo lepiej przez młodszych słuchaczy. W niektórych naszych utworach zostały wstawione cytaty wielkich klasyków muzyki rockowej czy hard rockowej takich jak Led Zeppelin, Deep Purple czy Black Sabbath. Chcieliśmy pokazać jak muzyka Beatlesów wpłynęła na

późniejszych wykonawców, którzy również stali się legendami jak The Beatles. Tym samym pokazaliśmy, że Beatlesi swoją twórczością wyznaczyli wiele gatunków w muzyce rozrywkowej na całym świecie.

W lipcu tego roku graliście jako *support* przed zespołem Orchestra (Electric Light Orchestra) podczas 11 Festiwalu Legend Rocka w Dolinie Charlotty koło Słupska. Co zdecydowało, że wygraliście *casting*?

Myślę, że po prostu byliśmy najlepsi (śmiech). No i może to, że traktujemy Beatelsów trochę inaczej, niż tysiące innych zespołów. Festiwal Legend Rocka był dla nas dużym wydarzeniem. Z koncertu jest zarejestrowany materiał audio na wielośladzie i prawdopodobnie w niedługim czasie powstanie płyta **The Bootels z Doliny Charlotty Live**. Ciekawostką jest to, że wykonaliśmy pełen program, który trwał 1,5 godziny i co się bardzo rzadko zdarza w przypadku zespołów *supportujących* gwiazdy, zagraliśmy bis.

Jakie macie wrażenia po występie w Dolinie Charlotty?

Zacznę od minusów: to niestety fatalna pogoda, lało od godziny 15-tej do północy, więc koncert The Bootels jak i gwiazdy wieczoru odbywał się w strugach deszczu. Nie miało to jednak wpływu na frekwencję publiczności, której było około 8 tysięcy.

Natomiast z pozytywnych rzeczy to super organizacja, super nagłośnienie i ekstra obsługa. Obawialiśmy się, że publiczność może nas nie zaakceptować, ponieważ nie jesteśmy autorami naszego repertuaru. natomiast już po kilku utworach publiczność rozkręciła się, co zaowocowało, jak już wcześniej wspominałem, bisem na sam koniec występu. Fajnie jest grać w takich miejscach na bardzo dużych scenach, gdzie dźwięk jest potężny i wszystko jest na najwyższym poziomie. Całą imprezę nagłaśniała firma, która jest jedną z najlepszych firm w Polsce i robi bardzo duże imprezy i festiwale.

Może mieliśmy lekki stres ze względu na fakt rejestracji materiału, ale nie przeszkadzało nam to wykonać pełnego *show*, który zazwyczaj wykonujemy nie martwiąc się o takie rzeczy.

Kolejną ciekawostką było spotkanie gitarzysty ELO Parthenona Huxleya, który po

naszej próbie powiedział, że bardzo mu się podobają nasze aranżacje i mocno trzyma za nas kciuki. Następnie zdradził nam, że sam gra w zespole, który wykonuje utwory Beatlesów, tak jak my i również jeździ na festiwalu i gra w klubach repertuar Beatelsów.



Zespół The Bootels na 11 Festiwalu Legend Rocka w Dolinie Charlotty.



Mimo deszczu podczas Festiwalu w Dolinie Charlotty na brak publiczności nie narzekano.

Jak doszło do powstania zespołu?

Do powstania zespołu The Bootels doszło 2004 roku. Zebrała się grupa ludzi, która chciała po prostu ze sobą pograć. Mieliśmy w planie wykonywać utwory różnych muzyków, ale problemem był wokalista, którego nie mogliśmy znaleźć. W końcu, podczas jednej imprezy domowej u Andrzeja Żukiewicza, na której był również Zbyszek Frankowski, zaśpiewali wspólnie „Ticket to Ride” i tym sposobem okazało się, że mamy w zespole dwóch wspaniałych wokalistów, których głosy bardzo dobrze współbrzmią. To nas skłoniło do tego żeby pójść bardziej w stronę repertuaru Beatlesów i wyspecjalizować w tym temacie.

Nazwa Waszego zespołu brzmieniem przypomina The Beatles. Czy to celowa zbieżność?

W czasie kiedy powstawał nasz zespół prowadziłem jeszcze własne studio nagrań, w którym nasz zespół odbywał próby. W tym czasie odbywały się też nagrania innych zespołów. Któregoś dnia realizator umawiając termin nagrań z jakimś zespołem powiedział, że w tym czasie nie może być nagrań, ponieważ „butelsi” mają próbę. Gdy zdziwiony zapytałem go o jaki zespół chodzi, odpowiedział mi, że o nasz. Podczas prób zdarzało nam się wypijać „trochę” alkoholu i pozostawały po nas puste butelki. Stąd taka nazwa, która została później dopasowana pod względem pisowni i liternictwa, które ewidentnie wskazywało na podobieństwo do zespołu The Beatles.



Występ zespołu The Bootels w legendarnym The Cavern Club w Liverpoolu.



Występ zespołu The Bootels w legendarnym The Cavern Club w Liverpoolu.

Jesteście posiadaczami certyfikatu wydanego przez właścicieli klubu The Cavern, potwierdzającego wysoki poziom wykonywania muzyki Beatlesów na świecie. Czy trudno jest zdobyć taki certyfikat?

Nie słyszałem, żeby ktokolwiek posiadał taki certyfikat, a już na pewno nie w Polsce. Nam się to rzeczywiście zdarzyło, że właściciele The Cavern uhonorowali nas takim pismem, które otwiera nam wiele drzwi i pozwala zagrać w różnych, bardzo ciekawych miejscach.

Jak dostaliście się do studia nagrań w Londynie, w którym nagrywali Beatlesi?

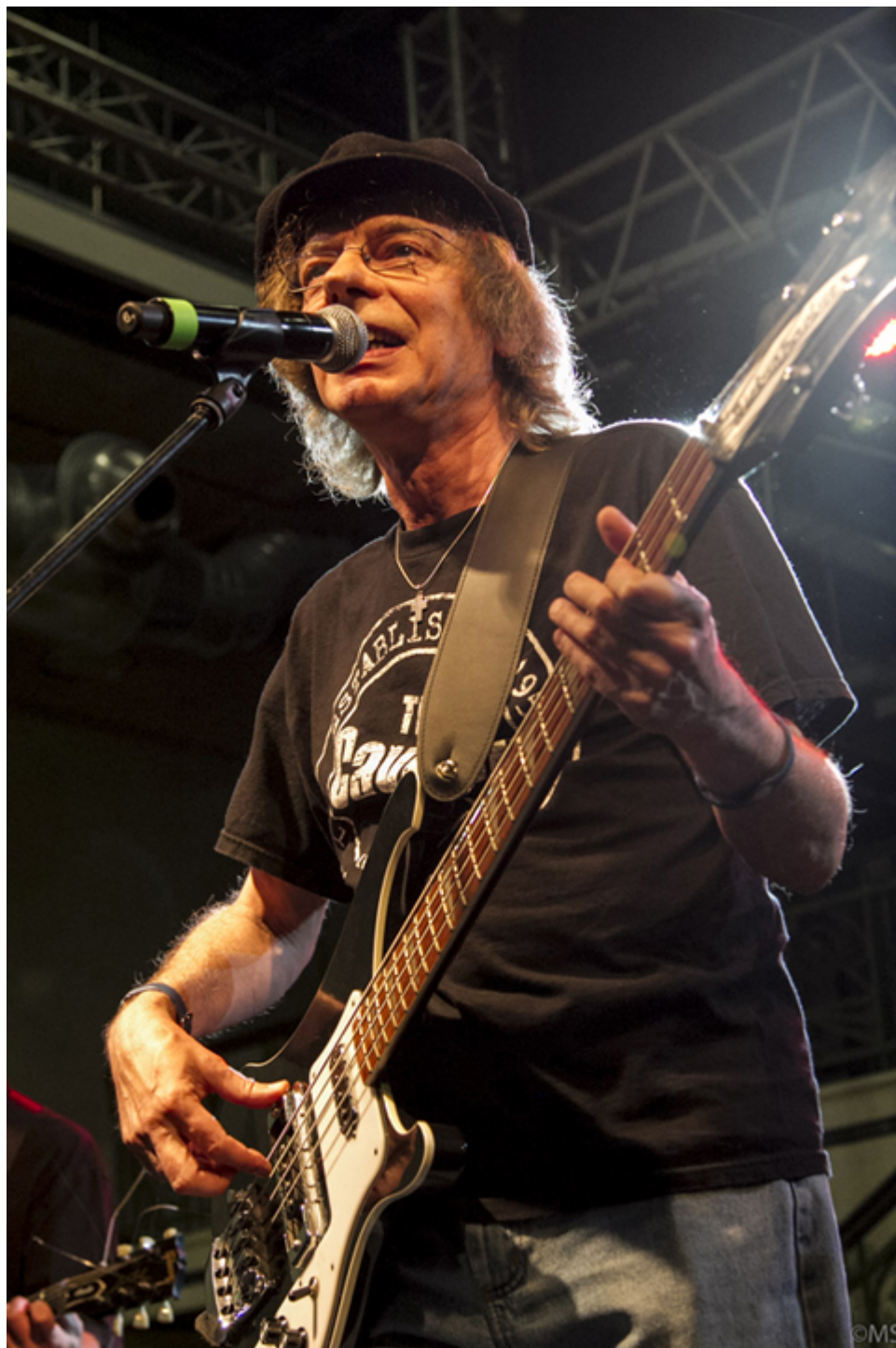
Do studia Abbey Road dostaliśmy się drogą mailową. Niestety musieliśmy czekać 4 miesiące ponieważ człowiek, który robił nam *mastering* Sean Magee jest bardzo rozchwytywanym, zdolnym realizatorem i ma bardzo długie terminy. Również nie z każdym chce pracować. Nam się udało.

Mastering został zrobiony na urządzeniach na których pracowali Beatlesi. To duża dla nas satysfakcja i myślę, że ci którzy posłuchali płyty, a szczególnie analogowej, bo taka wersja również została, wydana, mogą naprawdę odczuć ducha tego studia i atmosferę jaka tam mogła panować w tamtych czasach.

Czy poznaliście Paula McCartneya lub Yoko Ono?

Niestety nie mieliśmy na razie okazji poznać żadnego z żyjących członków grupy The Beatles, natomiast na naszej drugiej płycie **The Bootels Revolution** jest fragment wywiadu z Paulem McCartneyem, który ładnie po polsku mówi „cześć”.







Gdzie głównie występujecie?

Zagraliśmy około 20 koncertów w Liverpoolu. Graliśmy też we Francji i w Niemczech. W Polsce gramy głównie imprezy zamknięte dla firm, ale także plenery oraz kluby.

Kto przychodzi na wasze koncerty?

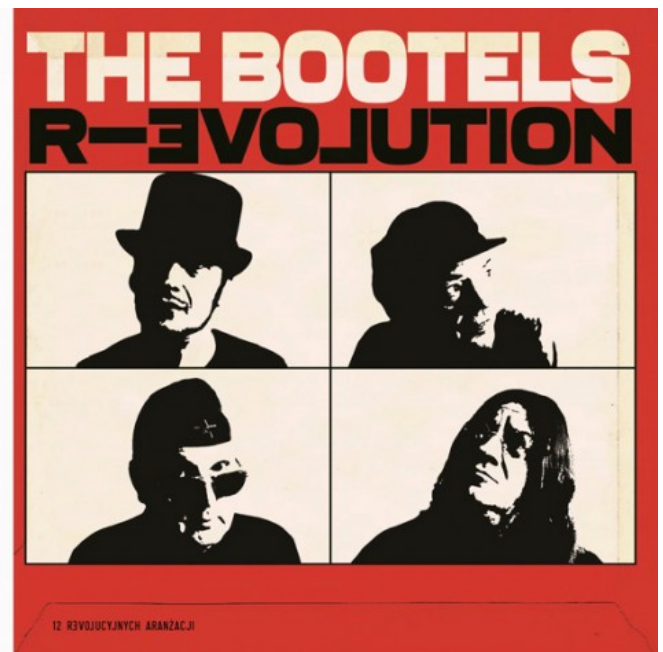
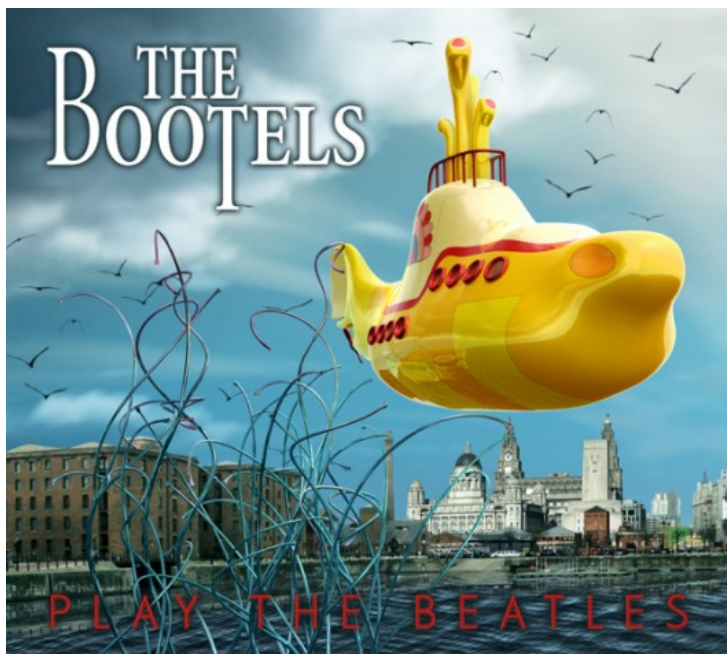
Na nasze koncerty przychodzi bardzo zróżnicowana publiczność od młodzieży, czasami dzieci, aż po naprawdę wiekowe osoby, więc przekrój wieku słuchaczy mamy bardzo duży.

Na czym polega fenomen Beatelsów?

Myszę, że fenomen Beatlesów polega na wyjątkowym duecie, który tworzyli Lennon i McCartney. Wspaniale współbrzące głosy, piękna harmonia, a do tego świetne kompozycje wyznaczały kanony gatunków muzycznych, które powstały na przestrzeni lat. Kompozycje są tak fantastyczne, że właściwie każdy utwór jest przebojem, co świadczy o ich naprawdę wielkim geniuszu i o tym, że na zawsze pozostaną w naszej świadomości muzycznej.

Strona zespołu The Bootels:

<http://dalmafon.pl/thebootels/>





Zespół The Bootels przed wejściem do legendarnego The Cavern Club w Liverpoolu. Od lewej: Andrzej „Żuk” Żukiewicz, Janusz Jeżyński, figura Johna Lennona, Piotr Jełowicki i Zbyszek Frankowski.

O zespole THE BOOTELS

Impulsem była miłość do muzyki Beatlesów. Dlatego członkowie The Bootels porozumieli się błyskawicznie i zaczęli grać piosenki słynnej czwórki. Grać tak, aby zachować ich ducha, ale jednocześnie dodać coś od siebie i sprawić, żeby mające po kilkadziesiąt lat utwory, brzmiały współcześnie. Bootelsi przearanżowali je w mistrzowski sposób: pozostawili m.in. charakterystyczne harmonie wokalne, ale dodali sporo gitarowego zgiełku i metalowej mocy. Sięgnęli po znakomite instrumenty i wzmacniacze z lat 60. i 70., ale korzystają też z nowinek technicznych. Połączenie *feelingu* i czadu, tradycji i nowoczesności dało w ich wykonaniu świetne efekty. Od pierwszych taktów słychać w tych nagraniach style Beatlesów i... Bootelsów.

Łodzianie zmierzili się z legendą chłopców z Liverpoolu, bo jak twierdzą, twórczość Johna, Paula, Georga i Ringo jest wieczna. Trzeba jednak dodać, że The Bootels to już także legenda. Legenda muzyków, którzy tworzyli historię polskiego rocka, a teraz spotkali się w łódzkiej supergrupie. Ich biografiami można by obdzielić kilka kapel.

Film o zespole:

<https://www.youtube.com/watch?v=Kx-gYXsTTHM>

Grający na gitarze basowej i śpiewający **Zbigniew Frankowski** w latach 60. grał w zespołach: Bardowie, Cykady, Śliwki i Vox Gentis (w duecie z Markiem Jackowskim, później liderem Maanam). Sukces osiągnął z grupą Quorum śpiewając piosenkę „Ach co to był za ślub” (I miejsce na festiwalu w Opolu 1970). Później występował w zespole Anawa z Markiem Grechutą, a następnie z Andrzejem Zauchą. Od 1974 r. akompaniował Maryli Rodowicz (m.in. „Kolorowe jarmarki” i „Remedium”).

Perkusista i wokalista **Andrzej Żukiewicz** uczył się grać na hitach The Beatles, a w 1984 roku przyszło mu występować w amsterdamskim klubie Blue Note z samymi The Platters, o których czterech słynnych liverpoolczyków mówiło, iż niektóre piosenki pisali będąc pod ich wpływem. Dwa lata później trafił do **Rezerwatu**, który w latach 80. był jednym z najpopularniejszych zespołów w Polsce. Współpracował też m.in. z Felicjanem Andrzejczakiem.

Gitarzysta **Piotr Jełowicki** grał w zespołach Pornografia i Monaliza oraz w legendarnej punkowej grupie Moskwa. W 1991 r. stworzył autorski projekt P.J. BAND i nagrał solową płytę. Otworzył jedno z pierwszych prywatnych studiów nagrań w Łodzi. W 1995 roku powstała druga płyta P.J. Band „Cash”. Piotr jest autorem wideo szkoły „Nauka gry na gitarze”, która została wydana przez Janusza Popławskiego i jego pismo „Gitarą i Bas”.

Janusz Jeżyński absolwent Łódzkiej Akademii Muzycznej, muzyk, multiinstrumentalista, kompozytor, aranżer, realizator dźwięku. Grał w kilku projektach muzycznych (PJ Band, Raze, Wariacje.pl). W 2009 roku wydał autorską płytę „Stajnia Augiasza”, zrealizował kilka pozycji muzyki alternatywnej. Jego pasją przez wiele lat była elektronika, co w połączeniu z wykształceniem muzycznym

zaowocowało wieloma projektami urządzeń dla firm elektronicznych i muzyków.



Występ zespołu The Bootels w legendarnym The Cavern Club w Liverpoolu.



Występ zespołu The Bootels w legendarnym The Cavern Club w Liverpoolu. Rok 2008 był dla Bootelsów bardzo ważny. Wydali debiutancką płytę i pokazali się za granicą. W lutym zagrali w słynnym liverpoolskim klubie **The Cavern**, gdzie Beatlesi zaczynali wielką karierę. Muzyka łodzian tak się spodobała, że zostali zaproszeni na festiwal muzyki The Beatles „Beatleweek”, który w sierpniu, jak co roku, przyciąga do Liverpoolu fanów słynnej czwórki z całego świata. Zespół odwiedził Anglię jeszcze raz w 2009 roku i łącznie zagrał w Liverpoolu prawie 20 koncertów. Od tego momentu zespół zagrał również wiele koncertów w całej Europie i setki w samej Polsce.

Drugi, album The Bootels **R-evolution** ukazał się w grudniu 2015 r. Został *zmasterowany* w legendarnym **Abbey Road Studios** w Londynie na urządzeniach, które wykorzystywali sami Beatlesi. Śmiało można powiedzieć, że gdyby jakimś cudem The Beatles przetrwał, tak jak np. Stonsi, to z pewnością grałby tak jak The Bootels. Brzmienie jest mocniejsze, interpretacja bardziej współczesna, choć to cały czas *rock and roll*. Udało im się niejako rozwinąć pomysły oryginalnych twórców poprzez własną interpretację i ciekawą aranżację. Bawili się przy tym świetnie, stąd znakomicie wykorzystane cytaty z innych gigantów muzyki jak Black Sabbath czy Led Zeppelin. Niewątpliwym rarytasem płyty jest fragmencik wywiadu udzielonego przez Paula McCartneya przy okazji jego ostatniego koncertu w Polsce w 2013 roku.

Był to podobno jedyny wywiad, którego udzielił artysta podczas tej wizyty. Przeprowadził go najlepszy znawca tematu redaktor Piotr Metz.

Jego też obszerny opis znalazł się wewnątrz okładki płyty. Oto fragment:

Zazdroszczę teraz takim Bootelsom, że mogą bawić się naszymi ulubionymi utworami, kreując je na nowo po swojemu, choć w duchu oryginałów... zawsze będę kibicował takim zapaleńcom jak czwórka z polskiego Liverpoolu – Łodzi.

Album **R-evolution** został wydany również na winylu, który jest uzupełnieniem kolekcji miłośników tej klasycznej już w końcu muzyki.

W sierpniu 2016 r. The Bootels byli na kolejnym 30. jubileuszowym Beatleweek w Liverpoolu, gdzie zagrali kilkanaście koncertów.

Tyle historii, czas na muzykę, która broni się sama.

Galeria

Koncerty zespołu The Bootels











Cavern City Tours

Directors; Dave Jones, Bill Heckle, George Guinness and Julia Baird

First Floor, Century Buildings
31 North John St
Liverpool, L2 6RG

Tel: +44 (0) 151 236 9091
Fax: +44 (0) 151 236 8081

Website: www.cavernclub.org
Email: office@thecavernliverpool.com

Registered Office
Edward Robinson & Co
Suite 26
Century Buildings
Brunswick Business Park
Liverpool L3 4BJ

VAT Reg: No.: 727 1517 40
Company Registration No. 1744312

The Bootels

The Bootels were only the third Polish band to have ever played Beatleweek and they certainly represented their country well, playing with enthusiasm and great skill.

They played the Beatles Convention and The Cavern Club (the birthplace of the Beatles) and the crowd really loved them.

It is great that bands keep the Beatles music alive and in Poland, with The Bootels their legacy will continue to grow.



Bill Heckle
Director
Cavern City Tours

Certyfikat wydany zespołowi The Bootels przez legendarny klub The Cavern.